

Czy świat Indian się zmienia?

**Rozmowa z Aleksandrą Ziółkowską-Boehm na temat
książki „Otwarta rana Ameryki”.**



Aleksandra Ziółkowska-Boehm podczas Międzynarodowych Targów Książki w Krakowie, 2007 r., fot. arch. A. Ziółkowskiej-Boehm.

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

„Otwarta rana Ameryki” to książka głęboko osadzona w problematyce „Native Americans”. Mimo, że mieszkam w USA o wielu rzeczach nie wiedziałam, ta książka otworzyła mi oczy na historię i współczesność amerykańskich Indian. Jednocześnie znacznie się różni od poprzednich Pani książek, choćby od „Kai od Radosława”.

Aleksandra Ziółkowska-Boehm:

Jest to książka inna od moich poprzednich ze względu na tematykę, ale sposób pisania i ton narracji jest podobny, do choćby przywołanej przez Panią „Kai od Radosława”. Obie książki pisałam w Stanach Zjednoczonych, jedna traktuje o polskiej historii, druga o amerykańskiej. Wydarzenia tragiczne, o których piszę, są po obu stronach oceanu równie smutne. Zaangażowanie emocjonalne w tematykę towarzyszyło mi przy pisaniu obu książek. Moim zdaniem, nie ważne, czy mija 10, 50 czy 100 lat od zdarzeń, o których piszemy, ważne jest, by mieć w sobie przekonanie, że jest to historia warta opowiedzenia, aby o niej napisać tak, by wywołała wzruszenie, by czytelnicy byli nią także przejęci. Dla mnie jest to ważna książka także dlatego, że pokazuję trochę „moją Amerykę”.

Jakie konsekwencje dla warsztatu pisarskiego powoduje taka zmiana obszaru zainteresowań? Czy wyostrza spojrzenie na nowe problemy?

Jeżeli mogę tak określić: wiele razy pisaniem odpowiadam na sytuacje, czy rzeczywistość, która się wkoło mnie dzieje. Od 1990 roku mieszkam na stałe w Stanach Zjednoczonych. We wstępie do „Kai od Radosława” przywołałam przesłanie (które lubię przytaczać) usłyszane od Isaaca B. Singera – do pisania trzeba mieć „story to tell”, pasję, by o niej opowiedzieć i przekonanie, że właśnie ja chcę to zrobić. W czasie pisania obu książek

zaistniało we mnie takie przekonanie. Jeżeli chodzi o „Kaję od Radosława”, zabrało mi niemal 30 lat, by sobie to uświadomić, ale i w przypadku książki indiańskiej, trzymało mnie ono w szczególnym napięciu wiele lat. O tej tematyce myślałam od dawna, książkę pisałam, z dużymi przerwami, dziesięć lat.

Dlaczego zmagala się Pani z tym tematem aż 10 lat?

Przez długi okres sądziłam, że nie jestem w stanie opisać tematu, który jest trudny i złożony. Obawiałam się, że nie poradzę sobie z nim. Zdawałam sobie sprawę, że im dalej od ludzi innych kultur, tym łatwiej można ulec na przykład romantycznym wyobrażeniom na ich temat. Bałam się także, że będę się kierować sentymentalizmem, że zapanuje urzeczenie innością, egzotyką, że napiszę książkę, która będzie jeszcze jedną „wersją białego człowieka”. Więc się nie spieszyłam. Chciałam przespać, jakby powiedzieli Irokezi, z tym tematem niejedną noc.



Tomasz
Tomczyk, lat 8,
fot. arch. A.Z-B.

Przygotowywałam się do tej książki wiele lat, nie tylko czytając, ale śledząc bieżące wydarzenia. Zaprenumerowałam dwa indiańskie pisma "Lakota Country Times" i "Indian Country Today", czytałam też „The Morning Star”. Odbylałam trzy razy wyprawy do rezerwatu Pine Ridge w Południowej Dakocie, byłam w rezerwach indiańskich w Teksasie, Montanie, Wisconsin, odwiedzałam też terytoria indiańskie w Oklahomie. Im bardziej się zapoznawałam z tym tematem, tym się on bardziej jakby ode mnie... oddalał. Ale mnie kusił, ekscytował i wciągał, i się nie poddałam. Mój mąż Norman bardzo mi sekundował, wspólnie robiliśmy dalekie wyprawy, przejechaliśmy terytoria indiańskie w Oklahomie. Jeździliśmy na kolejne „pow-wow”, a przede wszystkim do rezerwatów w obu Dakotach, w Montanie. Spędziliśmy 2,5 miesiąca w Pine Ridge Reservation w Południowej Dakocie, drugim największym rezerwacie w Stanach.

Zwyczajem amerykańskim, który ogromnie cenię, w miarę możliwości sponsorowaliśmy między innymi trzy szkoły indiańskie (Norman, protestant, podziwiał, że wszystkie trzy są

prowadzone przez kościół katolicki). Nawiązaliśmy osobiste kontakty z Indianami i teraz, po latach, mogę powiedzieć, że wśród naszych przyjaciół jest dwóch Indian. (Cytuję ich w książce „Kaja od Radosława”, gdzie w Aneksie podałam wypowiedzi Amerykanów, jak kojarzą Syberię, i co wiedzą na temat Powstania Warszawskiego).

W ciągu tych lat drukowałam reportaże i eseje w wielu pismach. Ogromnie cenię, że w „Polityce” w cyklu „Na własne oczy” wydrukowano mój duży reportaż p.t. „Nadciągają Indianie”. Pisałam do „Odry”, „Borussi”, „Rzeczpospolitej”, do nowojorskiego „Przeglądu Polskiego”, angielskojęzycznego „New Horizon”. Powstającą książką interesował się między innymi Jerzy Giedroyc, którego temat Indian niemal fascynował.



Aleksandra Ziółkowska-Boehm podczas pow-wow w Austin, Teksas, fot. arch. A. Ziółkowskiej-Boehm.



Norman Boehm przy wjeździe do rezerwatu Pine Ridge, Dakota Południowa, 1995 r., fot. Aleksandra Ziółkowska-Boehm.

Proszę opowiedzieć o przyjaźniach z Indianami, które nawiązały się przez ten czas? Co Pani w nich ceni najbardziej?

To, co w każdej przyjaźni, serdeczność i lojalność. Moi znajomi Indianie są zainteresowani książką, wysłałam im także jej polską wersję. Przysyłali mi via Internet fotografie. Od lat tłumaczyli mi cierpliwie sprawy, które nie są proste, np. różne typy własności ziemi na terenie rezerwatów. Ujmuje mnie, gdy mi opowiadają sprawy dla nich niemal osobiste. Rod Trahan, Szejen Północny, opowiedział mi o pogrzebie swojej babki. W pewnym momencie zatrzymał się i powiedział, że więcej nie może mi powiedzieć, bo

nie jestem Indianką. W książce jest rozmowa z nim, jak i z przedstawicielem Apaczów, Kiowa, Chickasaw.

Gdy przejeżdżałam przez indiańskie rezerwaty w Kanadzie i w Stanach widziałam Indian, którzy absolutnie odbiegali od obrazu kształtowanego przez filmy o „Dzikim Zachodzie”, na których się wychowałam. Zamiast tradycyjnych strojów - „adidasy”, podkoszulki z wielkimi napisami reklamującymi np. hamburgery, farbowane włosy, trwała ondulacja, czy ubiór niemal zdjęty z lalki Barbie. Widziałam też Indian tworzących sztukę na sprzedaż, jakby chcieli dać turystom taki obraz siebie, jaki oni chcą zobaczyć. Czy według Pani Indianie są w stanie obronić swoją kulturę i nie ulec komercjalizacji amerykańskiego życia? Czy mają na to szanse bez pomocy „białych”?

To jest bardzo złożony problem. Część Indian wchodzi w świat i kulturę dominującą w Stanach Zjednoczonych, jest wiele małżeństw mieszanych, ale większość mieszka w rezerwach na zachodnich terenach – w obu Dakotach, Montanie, i niewiele zmienia się ich świat mimo upływających lat. Piszę o tym w rozdziale „Smutek rezerwatów”. W Pine Ridge bezrobocie sięga 88 procent, co trzeci dom nie ma elektryczności czy kanalizacji. Szerzy się alkoholizm, choć zabroniona jest sprzedaż alkoholu na terenie rezerwatów. Nie mogłam spytać małego synka poznanej

Indianki, o czym marzy, kim chciałby zostać, gdy dorośnie. Bo jego ojciec jest na bezrobociu, podobnie jak był dziadek i pradziadek. Skąd ma mieć wzór?

Wspomniała Pani o indiańskich „tradycyjnych strojach”. Przed wielu laty odwiedził mnie w Warszawie syn zaprzyjaźnionej kanadyjskiej rodziny polskiego pochodzenia. Powiedział mi, że jest zaskoczony..., że w Polsce ludzie nie chodzą w „ludowych strojach”, które pamiętał z występów polonijnych zespołów.



Aleksandra Ziółkowska-Boehm podczas pow-wow w St. Labre Indian School, Maryland, 2004 r., pierwszy z prawej Rod Trahan - Północny Szejen, fot. Norman Boehm.



Bawiące się indiańskie dzieci, Cahmberlain, South Dakota, fot. Aleksandra Ziolkowska-Boehm.

Co jest według Pani w tej książce najważniejsze?

Pokazuję złożoność ogólnego problemu, pokazuję także każdą dobrą inicjatywę, bo takie są. Piszę o biedzie, ale piszę o ogromnych dochodach z kasyn gry. Przynoszą one więcej dochodu w Kalifornii niż kasyna np. w Nevadzie. Indianie w Kalifornii sponsorują z otrzymanych dochodów wiele pięknych akcji, stawiają szkoły, szpitale, budują drogi. Ale to jest niewielki procent. Na ponad 500 plemion, każde z nich ma inną historię, także obecną rzeczywistość i perspektywy. Piszę o nadziei, jakie budzą szkoły indiańskie, o edukacji, która jest kluczem otwierającym szeroko drzwi, i piszę o trudnościach, których sami

Indianie nie umieją, ale też często nie chcą przełamać.

Zastanawiam się, ale nie mam gotowej odpowiedzi, nad wieloma sprawami. Na przykład – czy Indianie są tak fundamentalnie inni od innych mieszkańców Stanów Zjednoczonych, że wymagają osobnej kategorii praw, które nie mają wiele wspólnego z przeciętnym amerykańskim systemem wartości, czy są jeszcze jedną grupą tworzącą getta i etniczne enklawy.

W książce piszę między innymi o indiańskich szyfrantach (*code talkers*), o kobietach, które nazywam indiańskimi księżniczkami, o swoich odwiedzinach na farmie w Wisconsin, gdzie urodził się biały bizon, symbol zmian i dobrej wróżby.

Dotarła Pani do Indian z wielu plemion, pisze pani nie tylko o Indianach Lakota, gdzie spędziła pani najwięcej czasu. Starła się pani zrozumieć, co ich łączy, a co dzieli. To cenna obserwacja, którą można wyczytać w książce. Mnie zdumiało, że Indianie, którzy nawet doszli do wysokich pozycji w amerykańskim społeczeństwie, mają głęboką niechęć do plemion, które w przeszłości wyrządziły im krzywdę. Mój mąż, Jacek, rozpoczynając pracę na Uniwersytecie w Austin w Teksasie, przez trzy miesiące wynajmował pokój u swojej koleżanki, która miała duży dom. Koleżanka - profesor na Wydziale Nauki o Informacji, jak się okazało, była Indianką urodzoną w rezerwacie.

Zajmowała się tematyką indiańską w swoich pracach badawczych. Jacek pochwalił się, że zna Polkę, która napisała książkę o Indianach. - A z jakiego plemienia - podchwyciła Indianka. - Chyba Lakota - odpowiedział. - Ja pochodzę z plemienia Ojibwe i my nie chcemy o Lakota słyszeć - odpowiedziała. Jej twarz mówiła, że to dla niej bolesny temat. Nigdy więc Jacek do niego nie wracał.

Są historyczne uzasadnienia do wzajemnych dąsów, i niewybaczania krzywd. A czy my -Polacy nie mamy jakże bolesnych okrutnych doświadczeń z naszymi sąsiadami, i nie tylko z bliskimi sąsiadami?...



Międzynarodowe Targi Książki w Krakowie, 2007 r., fot. Jacek Piotrowski.



Międzynarodowe Targi Książki w Krakowie, 2007 r., fot. Jacek Piotrowski.

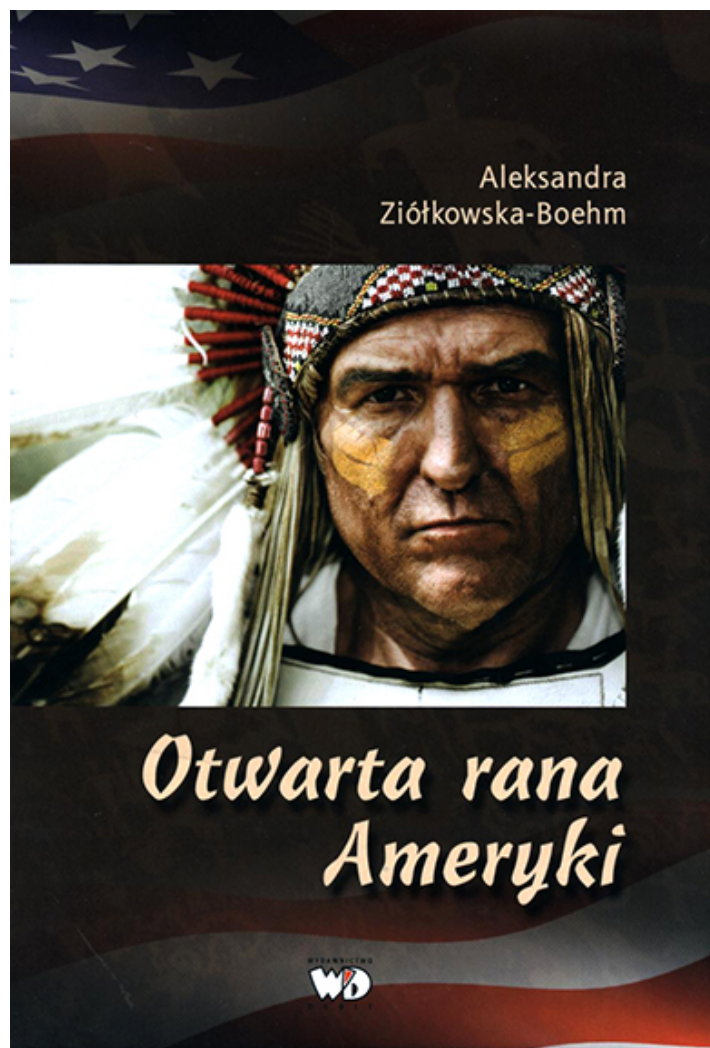
Książka pokazana była Targach Książki w Krakowie. Promocję ubarwiły indiańskie tańce. Proszę opowiedzieć jak czytelnicy, z którymi się Pani zetknęła odbierali tę książkę? Jak duże jest zainteresowanie tematyką indiańską w Polsce? Czy czytelnicy wychowani na lekturach Karola Maya i filmach o „Dzikim Zachodzie” nie oczekiwali, że będzie to książka przygodowa?

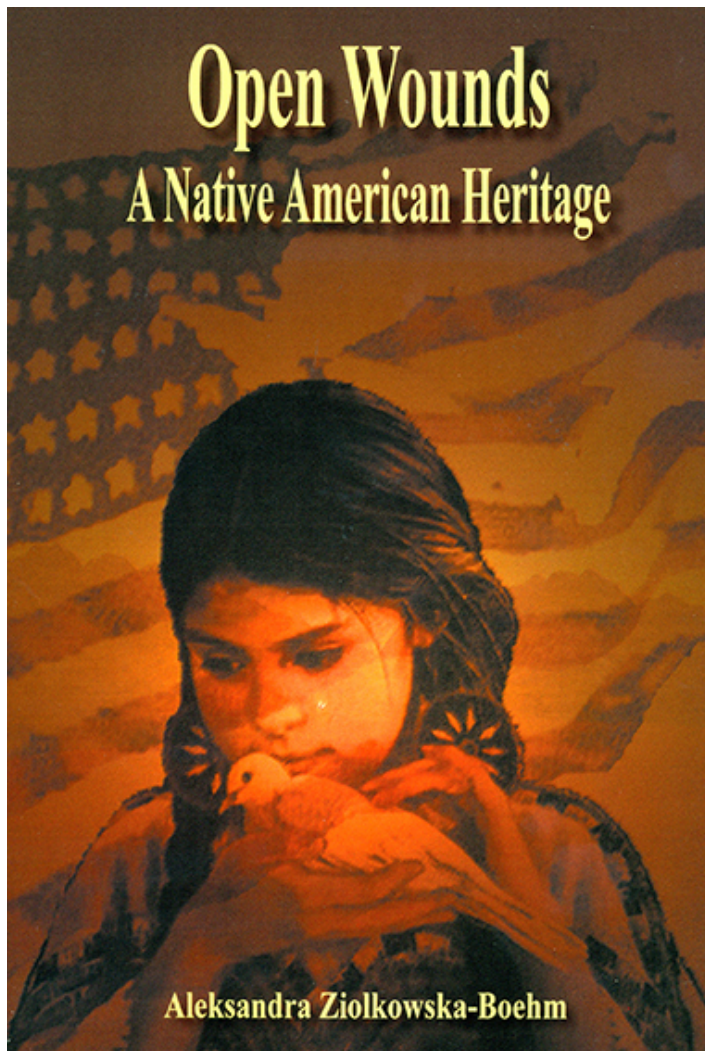
Tematyka indiańska w Polsce, co mnie niezwykle zdumiało, ale i urzekło, cieszy się dużym zainteresowaniem. Nie mówię o

książkach dla dzieci i młodzieży, czy o znanych od dawna autorach, jak James F. Cooper czy przywołany przez Panią Karol May, ale np. o piśmie TAWACIN, [1] które podejmuje poważną problematykę Indian. Jego redaktor naczelny Marek Maciołek (bardzo mi pomógł w polskim nazewnictwie), duży znawca tematu, wydaje także książki o tematyce indiańskiej. Na uniwersytetach w Polsce są wydziały amerykańistyki, archeologii, gdzie pisze się doktoraty na temat szeroko pojętej tematyki Indian. Dr Radosław Palonka z Uniwersytetu Jagiellońskiego w 2006 roku był stypendystą Fulbrigta na Uniwersytecie w Arizonie. Jego wiedzę na temat „Native Americans” miałam okazję podziwiać wysłuchując wykładu na sympozjum poświęconym Indianom (w którym i ja wzięłam udział) zorganizowanym m.in. przez Uniwersytet Jagielloński. Odkondu się w języku angielskim, ciekawe referaty przedstawili polscy goście, jak także autor książek Bruce E. Johansen z Nebraski i naukowcy z Włoch.

Na Międzynarodowej Konferencji Naukowej w Rzeszowie (25-27 września 2013) zatytułowanej: „Internationale Wissenschaftliche Konferenz. Przyjemność i cierpienia, czyli człowiek w świecie doznań. Genuss und Qual oder Der Mensch der Welt der sinnlichen Erfahrungen” dr Marcin Lutomierski z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika zaprezentował wykład: „Cierpienia (i radości) współczesnych Indian w „Otwartej ranie Ameryki” Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm”, który potem ukazał się w

książce.[2] Bardzo cenię ten esej.





„Otwarta rana Ameryki” była nominowana do nagrody Angelusa (2008). „Nowe Książki” poświęciły jej okładkę i obszerny tekst zatytułowany „Tylko w Ameryce można wyrzeźbić górę”, PAP podał dużą notę, było wiele interesujących recenzji. Została przetłumaczona na język angielski. Jak odebrali ją angielskojęzyczni czytelnicy? Jakie są jej losy w Ameryce?

W Stanach ukazała się w wydawnictwie Nemsi Books w Południowej Dakocie pod tytułem: „Open Wounds a Native

American Heritage”, wstęp napisał Radosław Palonka. Chcę wspomnieć, że Nemsi Books od kilku lat wydaje książki popularnego w Europie, a nieznanego w Stanach Zjednoczonych Karola Maya.

Wydanie mojej książki wsparli Apacze, jest podziękowanie od wydawcy. Pisały o niej pisma indyjskie (np. „The Morning Star”), także interesujące głosy, recenzje napisali między innymi: **John R. Alley, Bruce E. Johansen, Zbigniew Brzeziński, Audrey Ronning Topping, Stanley Weintraub, Robert Ackerman, Homer Flute, Florence W. Clowes, Larry Cunningham, Angela Baldwin.** Książka ma mieć wydanie w audiobooku (w języku polskim i w języku angielskim). [3]

Chcę wspomnieć, że mój mąż, który podzielał moją pasję, po wydaniu książki towarzyszył mi w spotkaniach autorskich w Polsce (oboje cieszyliśmy się starannym i pięknym wydaniem Wydawnictwa Debit), a także w Stanach.

Norman zmarł 26 maja 2016 roku. W nocy pośmiertnej podana była prośba, by zamiast kwiatów, wesprzeć Red Cloud Indian School – szkołę w rezerwacie Pine Ridge w Południowej Dakocie. Tak chciał.

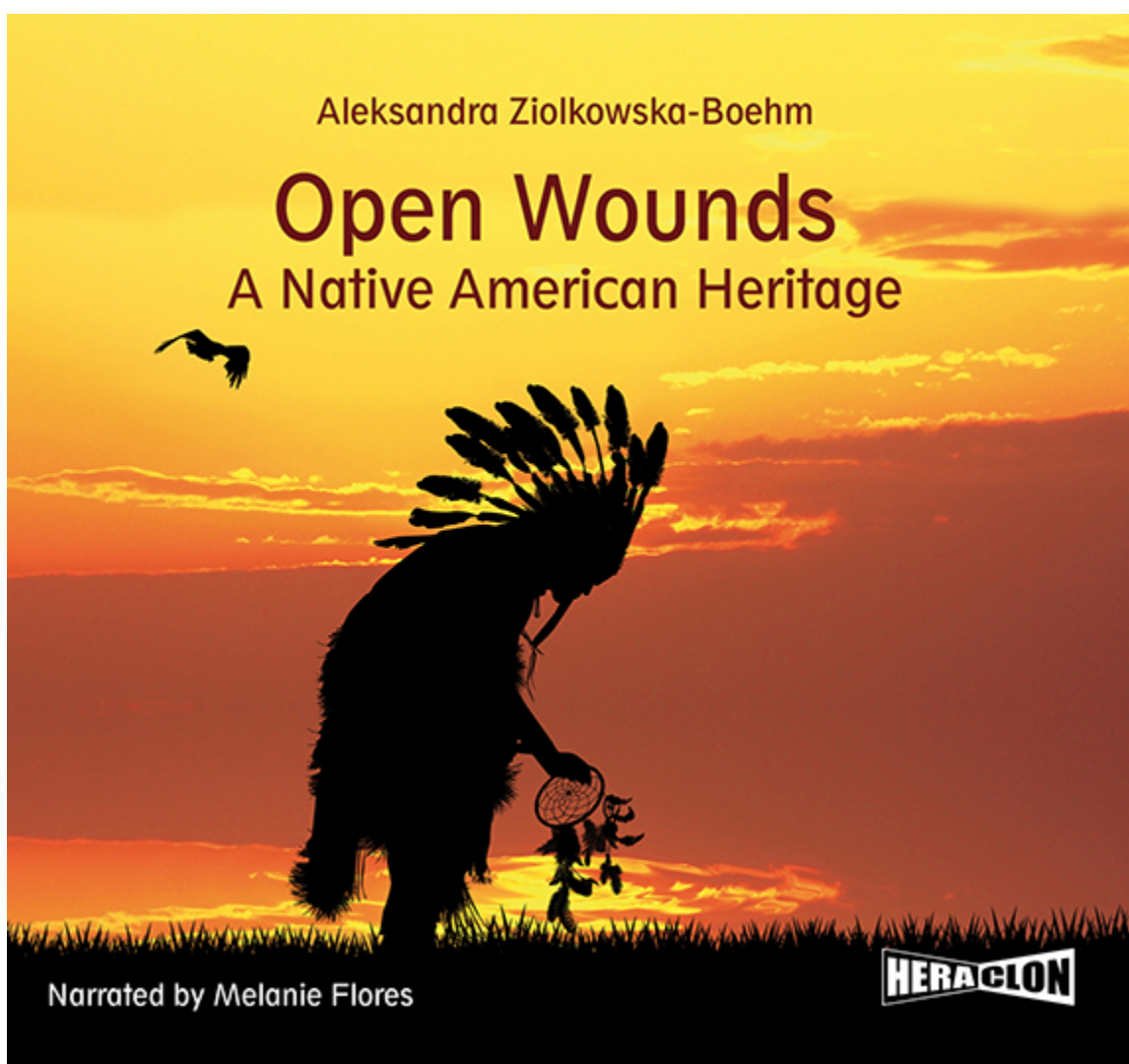


Norman Boehm na tle monumentu Crazy Horse, fot. Aleksandra Ziółkowska-Boehm.

[1] *TAWACIN*, podtytuł „*Pismo Przyjaciół Indian*”. W języku Siuksów oznacza „wiedzę, poznanie, mądrość”.

[2] *Esej ukazał się [w:] Marcin Lutomierski: „Folklor indiański w „Otwartej ranie Ameryki” Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm. Inspiracje folklorem w kulturze i edukacji”, Wydawnictwo Pani Twardowska, Warszawa 2014. str.81-93.*

[3] *Aleksandra Ziolkowska-Boehm: Open Wounds: A Native American Heritage. W języku angielskim lektorem jest Melanie Flores, wydawcą Hercalon International, ISBN 978-83-8146-562-5.*



Audiobook, okładka.

O niezwykłym rzeźbiarzu Korczaku Ziółkowskim:

<http://www.cultureave.com/kazdy-czlowiek-ma-swoja-gore-do-przeklucia-niezwykly-rzezbiarz-korczak-ziolkowski/>

Zobacz też:

<http://www.cultureave.com/syn-polki-i-indyjskiego-wodzysienki-ewiczem-kanadyjskich-indian/>

Poeta zapomniany.

Część II.

Historia wydań i opinii na temat największego eposu narodowego Chile „Araukany” dotyczącego walk hiszpańskich Konkwistadorów z plemieniem Mapuchów, mieszkającym na terenach obecnego Chile, napisana przez tłumacza epopei na język polski – Czesława Ratkę.



Plaskorzeźba przedstawiająca Alonso de Ercilla y Zúñiga, autorstwa Wiliama Blake'a, ok. 1800 r., Manchester City Gallery.

Czesław Ratka

Popularność *Araukany* w Hiszpanii za życia jej autora była nadzwyczajna. W ciągu trzydziestu lat od jej pierwszego wydania w roku 1569 ukazało się w Madrycie, Salamance, Antwerpii (wówczas należącej do Hiszpanii), Saragossie, Lizbonie, Barcelonie i Perpignan siedemnaście wydań tego eposu[1]. Szybko znalazł on naśladowców i stał się inspiracją dla innych twórców nie tylko w gatunku poezji epickiej, ale i w romancy oraz w teatrze. A że dobre dzieła rozpowszechniane przez liczne

wydania były zwykle szybko tłumaczone na inne języki, należałoby oczekiwać, że wkrótce zaczną się pojawiać także przekłady *Araukany*. Tymczasem, zanim do tego doszło, z początkiem XVII wieku ta ogromna początkowo popularność zamiera nagle i niespodziewanie na dwa stulecia (w ciągu dwustu następnych lat ukaże się w Hiszpanii zaledwie pięć wydań). Trudno się spodziewać, by w tej sytuacji zagraniczny odbiorca miał na nią zwrócić uwagę. Wprawdzie w roku 1619 została przełożona na język holenderski[2] (co nie powinno dziwić, skoro Niderlandy za panowania Karola V zostały dołączone do Królestwa Hiszpanii), nie decydowały tu jednak względy literackie. Był to zbiór krótkich wyjątków z trzydziestu trzech pieśni, przełożonych prozą, które holenderski tłumacz potraktował jako zachętę dla swoich ziomków eksploratorów (którym udało się już znaleźć drogę na Pacyfik wokół przylądka Horn) do podboju obfitujących w złoto ziem nie opanowanych przez Hiszpanów. Świadczy o tym już tytuł książki: *Rzetelne opisy narodów Chile i Arauko oraz innych krain obfitujących w złoto, a także wojen, jakie ich mieszkańcy prowadzili przeciwko Hiszpanom*[3].

Przekład ten nie wpłynął na popularyzację *Araukany*, bo też nie takie były intencje tłumacza. Co prawda po tematykę araukańską, czerpiąc z teatru hiszpańskiego, zaczęli dość wcześnie sięgać dramaturdzy francuscy, ale były to zaledwie różne formy adaptacji poematu Ercilli dalekie od jego oryginalnej

formy. Dopiero pod koniec XVIII pojawią się fragmentaryczne zrazu przekłady francuskie i angielskie – ważne, gdyż wraz z nimi pokażą się także jego pierwsze uczciwe omówienia dokonywane przez tłumaczy, dostarczające dowodów, że to naprawdę wartościowe dzieło. Po serii przekładów częściowych powstaną wreszcie tłumaczenia pełne. Pierwszy całościowy przekład na język angielski ukaże się w roku 1808 (William Hayley), na niemiecki w roku 1831 (E. M. Winterling), a na francuski w roku 1869 (Alexandre Nicolás). Do roku 1968 liczba wydań *Araukany* urośnie do siedemdziesięciu czterech[4].

Skąd jednak ta dwuwiekowa przerwa? Ośmielę się postawić tezę, że jej przyczyną nie był obrót koła Fortuny, jak często Ercilla poucza nas w *Araukanie*, ale publikacja przez Cristobala Suareza de Figueroa księgi o dokonaniach Garcii Hurtado de Mendoza, jego mecenasa, niegdysiejszego gubernatora Chile; tak się bowiem składa, że spadek popularności *Araukany* zbiega się mniej więcej w czasie z datą pojawienia się pomówień szkalujących poetę (rok 1613) zamieszczonych w tej biografii. Antonio de Sancha, osiemnastowieczny wydawca *Araukany*, w *Przedmowie* do swego wydania wylicza je w taki sposób:

Suárez de Figueroa wytyka Ercilli trzy wady: 1° – że w swojej *Araukanie* pominął milczeniem don Garcie Hurtado de Mendoza; 2° – że owo milczenie wynikało z jego

niewdzięcznego serca, zobowiązanego przecież wieloma łaskami, jakie uzyskał z jego ręki; 3° – że jego historia okazała się niewiarygodna.

Po lekturze epopei wiemy, że zarzuty te są nieprawdziwe. W czasie, gdy Suárez pisał biografię Mendozy, Ercilla, zmarły kilkanaście lat wcześniej, uchodził za jednego z największych poetów Hiszpanii; *Araukana* cieszyła się powodzeniem, a jej tematykę podejmowali inni twórcy w różnych gatunkach literackich. Nie wiemy, czy doktorem Suarezem kierowały jakieś prywatne motywy i osobista niechęć do poety i nie chcemy wiedzieć, przynajmniej ja nie chcę. Jeśli tak było, to winien on zdawać sobie sprawę, że jako autorowi biografii swego chlebobdawcy nie przystoi mu uprawiać własnej polityki między jej wierszami. Ponadto winien rozumieć, że kto próbuje psuć reputację zmarłych za pomocą oszczerstw, psuje przede wszystkim swoją własną, a rozpowszechniając kłamstwa o innych, niweczy wiarygodność swego pisarstwa w ogóle. Jak by nie było, ziarno nieprawdy zostało zasiane, wykiełkowało, a roślinka zaczęła owocować...



Członkowie plemienia Mapuchów, fot. Muzeum Sztuki Prekolumbijskiej w Chile.

Sto dwadzieścia lat później do kłamstw Suareza dorzucił swoje trzy grosze o *Araukanie* i jej autorze oświecony Voltaire (w *Essai sur la poésie épique* wydrukowanym w formie dodatku do jego poematu *Henriade*), a sława jego nazwiska sprawiła, że cytowano go bezkrytycznie, mimo że już w drugim zdaniu swojego *Eseju* mija się on z prawdą, gdy pisze, że Ercilla brał udział w hiszpańskim szturmie na francuską twierdzę Saint-Quentin, w Pikardii, w północnej Francji, choć wiadomo z *Araukany*, że był on w tym czasie w Chile (bitwę, owszem, oglądał, ale we śnie i dzięki interwencji Bellony). Błąd ten jest wielce znaczący, gdyż pokazuje (jak i dalsza treść *Eseju*), że Voltaire *Araukany* nie czytał! Już William Hayley, angielski tłumacz dzieła Ercilli, zwrócił na to uwagę; mimo to opinia publiczna wolą powtarzać

bezpodstawne osądy opiniotwórczego Francuza. Voltaire poświęca cztery piąte swojego *Eseju* zachwytom nad zdolnościami pisarskimi Ercilli, którego wychwala ponad Homera, by w pozostałej jednej piątej zaprzeczyć wszystkiemu, co mówił wcześniej, gdy pisze:

Prawdą jest, że jeśli w pewnym miejscu Alonzo wybija się nad Homera, to w całej reszcie jest poniżej najmniejszego z poetów. Dziwimy się widząc, jak nisko upada po osiągnięciu tak wysokiego lotu. W bitwach jest niewątpliwie dużo ognia, lecz żadnej inwencji, żadnego planu; brak zróżnicowania w opisach, brak jednolitości w formie. Ten epos jest dzikszy niż nacje, o których opowiada. Pod koniec dzieła autor, będący jednym z jego głównych bohaterów, w nocy, w trakcie długiego i nudnego przemarszu z grupą żołnierzy, chcąc wypełnić czymś czas, wszczyna dysputę na temat Wergiliusza, a zwłaszcza epizodu Dydony. Alonzo korzysta z okazji, by podyskutować z żołnierzami o okolicznościach śmierci Dydony, takich, jak je opisują starożytni historycy; a aby skuteczniej skorygować wersję Wergiliusza i przywrócić królowej Kartaginy jej dobre imię, zabawia się w rozprawianie o tym przez całe dwie pieśni. Zresztą kompozycja trzydziestu sześciu bardzo długich pieśni to wcale niemała wada jego eposu. Zdaje się, nie bez racji, że pisarz, który nie zatrzymuje się lub nie chce tego

zrobić, nie powinien oddawać się takiej profesji.

Tak duża liczba wad nie przeszkodziła sławnemu Miguelowi Cervantesowi w stwierdzeniu, że Araukana może być porównywana z najlepszymi poematami włoskimi. Ów fałszywy osąd podyktowała hiszpańskiemu twórcy zapewne ślepa miłość ojczyzny. Prawdziwe i solidne umiłowanie ojczyzny to praca dla jej dobra i obrona jej wolności na tyle, na ile jest to możliwe: zaś wszczynanie sporów dla wspierania jedynie autorów własnej nacji, przechwalanie się, że ma się lepszych poetów niż sąsiedzi, to raczej głupia miłość własna aniżeli ukochanie swojego kraju.

(Przekład z francuskiego – Anna Rucińska).

Od tej więc pory dwie ekspertyzy: oszczercza i nierzetelna, obie bezczelne, miały decydować o dalszych losach epopei poety-konkwistadora. Niewątpliwie osiągały zamierzony cel – odstręczały potencjalnych czytelników i tłumaczy od sięgania po podobno zmyśloną historię stworzoną przez człowieka o nie najlepszej reputacji.



Pedro de Valdivia, jeden z hiszpańskich Konkwistadorów w Chile, za czasów autora „Araukany”.

Jeśli ktoś uważa, że przesadzam z nadawaniem tak wielkiego znaczenia jakimś pojedynczym publikacjom i że zapomnienia *Araukany*, najokrutniejszego wyroku dla Ercilli, nie należy wiązać z krążącymi wszędzie insynuacjami pod jego adresem – jeśli sądzi, że publikowane wymysły powinny się traktować raczej jako mało znaczące anegdoty z jego życia – niech raczy zwrócić uwagę, że w roku 1776, sto sześćdziesiąt lat po ukazaniu się książki Suareza, Antonio de Sancha, pisząc *Przedmowę* do

swego wydania *Araukany*, widzi potrzebę poruszenia w niej tych z pozoru anegdotycznych kwestii: przedstawia życiorys poety, a następnie zajmuje się jedynie problemem pomówień Suareza. Zapewne nie podnosiłby tych spraw, gdyby były mało ważne i gdyby nie były rozpowszechnione. Solidne dwutomowe wydanie Sanchy – rzetelne przygotowanie tekstu, dodanie miedziorytu przedstawiającego Ercillę i po raz pierwszy sztychów ilustrujących sceny z epopei oraz rozkładanej mapy specjalnie w tym celu sporządzonej przez królewskiego geografa, wreszcie skórzana oprawa ze złoceniami – musiało zaskoczyć elitę kulturalną tamtego okresu i obudzić w niej ciekawość poznania dzieła. Nie widać tego wprawdzie w pogrążonej w głębokim kryzysie Hiszpanii, ale w innych krajach stosunek do epopei zaczyna ulegać zmianie.

W Hiszpanii starania Sanchy o przywrócenie dobrego imienia Ercilli były, jak się zdaje, bezowocne, gdyż komentatorzy dzieła Ercilli jeszcze długo powtarzali krzywdzące opinie Suareza, choć z czasem w coraz łagodniejszej formie. Dopiero u współczesnych nam hiszpańskich badaczy literatury, jak Isaías Lerner, chwast nieprawdy jest wreszcie wypleniony do cna. Po czterystu latach!

Polska praktycznie nie miała kontaktów z Hiszpanią ani w czasach Ercilli, ani przez kilka następnych stuleci – jeśli nie liczyć sporadycznych wizyt dyplomatycznych lub bardzo nielicznych prywatnych. Język hiszpański był u nas nieznany.

Dzieła hiszpańskich pisarzy docierały do Polaków z dużym opóźnieniem, z początku za pośrednictwem ich przekładów francuskich; na przykład pierwszy polski przekład *Don Kichota*, z roku 1786, został oparty na jego tłumaczeniu francuskim[5]. Pierwsze szersze informacje o *Araukanie* dotarły do Polski nie z Hiszpanii ani z Francji, ale z odległego Chile. Stało się to dzięki książce Ignacego Domeyki *Araucania y sus habitantes*, która przełożona z języka hiszpańskiego na polski ukazała się w Wilnie w roku 1860[6]. Autor przekładu i *Wstępu*, Leonard Rettel (używający pseudonimu Jan Zamostowski), przyjaciel Mickiewicza, osiadły w Paryżu po powstaniu listopadowym, tłumacz literatury hiszpańskiej i działacz emigracyjny barwną polszczyzną przedstawia polskiemu czytelnikowi streszczenie *Araukany* oraz dane o jej autorze w wersji, w jakiej zapewne krążyły wówczas w jego paryskim otoczeniu[7]. W ten sposób, chcąc nie chcąc, przeszczepia opinie Suareza i Voltaire'a (a także inne bajkowe historie) do świadomości Polaków, w której tkwią do dziś. Ignacy Domeyko, który zwiedził Arauko jako enklawę wolnych wciąż w tamtym czasie Indian na terenie Chile, wspominał *Araukanę*, zachwycił się nią i wielokrotnie cytował jej fragmenty w innej swojej książce, *Moje podróże*[8]; jej czytelnik nie miał, niestety, możliwości zapoznania się z chilijskim eposem. Nieznajomość dzieła Ercilli sprzyjała utrwaleniu się zafałszowanych opinii z przeszłości, a także kiełkowaniu ich fantastycznych odrośli. Dziś, w demokratycznym Internecie bez trudu znajdziemy wiele zmyślonych historii na ten temat. Nie

będę ich tu przytaczał, aby się nie przyjęły, gdyż trudno je potem wykorzenić.



Spółeczność plemienia Mapuchów, fot. Muzeum Sztuki Prekolumbijskiej w Chile.

Jest rzeczą zdumiewającą, że tendencyjne opinie zaledwie dwóch nieprzychylnie nastawionych osób z odległej przeszłości mogły tak skutecznie i na tak długo zepchnąć *Araukanę* w niebyt. Jeszcze bardziej niezrozumiałe jest to, że te osobliwości spotyka się i u dzisiejszych autorów piszących o Ercilli. Powie ktoś, że i ja przecież je powtarzam, ba, mało tego, nawet je cytuję; esej Voltaire'a zamieszczam w swoim *Posłowie* w całości. Owszem,

zamieszczam, by każdy, zanim będzie rozgłaszał zdania z niego wyjęte, mógł się z nim zapoznać, a kończąc jego lekturę, mógł sobie zadać, jak ja, pytania: Jak to, i to wszystko? To już koniec? Tylko tyle? A przecież miał to być esej o poezji epickiej! Co w takim razie autor eseju sądzi o literackiej stronie omawianego eposu? Dlaczego nie wspomni słowem o bogactwie językowym, o różnorodności środków wyrazu, o figurach stylistycznych, o wspaniałych opisach postaci, krajobrazu, zjawisk przyrody, o plastycznych opisach walk? Dlaczego nie przytoczy przykładów licznych sentencji, złotych myśli, rad, refleksji autora? Czemu nie dostrzega rozbudowanych, zaskakujących czytelnika przenośni, porównań? Czemu nie widzi humoru w epopei czy zabawnej gry słów? Czemu nie odniesie się do jej wierności normom klasycznym i nie wypowie na temat jej renesansowego charakteru? Czy nie robią na nim wrażenia bogate wyliczenia, powtórzenia intensyfikujące lub łagodzące bieg narracji, budujące nastrój i ożywiające rygorystyczny schemat oktawy? Czy nie budzi jego podziwu umiejętność wplecenia w treść oktawy kilkunastu (a rekordowo dwudziestu trzech) imion własnych?

Potwierdza się podejrzenie, że Voltaire nie czytał *Araukany* i znał tylko niektóre jej epizody – prawdopodobnie z opowiadania innych osób. Nie przeszkadza mu to bynajmniej w ferowaniu autorytatywnych wyroków, gdyż ma jedynie ochotę dopieć Hiszpanowi Ercilli, a przy okazji i Cervantesowi.

Każdy czytelnik krytyki Voltaire'a zdziwi się, jak ja, że to przecież wcale nie jest esej o poezji epickiej. Voltaire porównuje treść i konstrukcję wypowiedzi jednego z bohaterów *Araukany*, Kolokola, z treścią i konstrukcją mowy Nestora w *Iliadzie* i stwierdza, rozpatrując logikę ich wywodów, że Ercilla jest lepszym poetą niż Homer. Ocenia Ercillę i Homera tak, jakby byli autorami traktatów filozoficznych, a nie poezji; ocenia trafność ich argumentacji i zasadność ich rozumowania, a nie styl, w jakim się wypowiadają! Nie mam ochoty odnosić się do kategoriycznych wyroków padających w końcowej części *Eseju* – powiem jedynie zdanie na temat, który tak zdenerwował jego autora: Dydona. Rzeczywiście opowieść o Dydonie jest długa, ale nie zajmuje dwóch pieśni, jak twierdzi krytyk, a połowę pieśni XXXII i połowę XXXIII. Gdyby Voltaire przeczytał uważnie część drugą *Araukany*, napotkałby tam Bellonę i Saint-Quentin, i turecką inwazję na Cypr i Malte, i czarnoksiężnika Fitona, i Lepanto, i atlas świata, a w każdej pieśni spotykałby Marsa lub Fortunę. Czy i wtedy reagowałby tak ostro tylko na Dydonę? A może zechciałby pójść jeszcze dalej – jak robi chilijski wydawca poematu Ercilli, Abraham König, który w swym wydaniu w roku 1888 usunie z *Araukany* wszystkie epizody niearaukańskie, chcąc tym sposobem stworzyć jednolitą treściowo epopeję narodową Chilijczyków. Przekonałby się wtedy, tak jak przekona się König, że czytelnicy wolą ją w wersji, jaką zaproponował Ercilla. Ja, nie zastanawiając się nad tym, czy mi się obecność Dydony w poemacie podoba, czy nie, będąc człowiekiem tolerancyjnym,

akceptuję decyzje autora działającego w ramach estetyki renesansowej – dla której nawiązywanie do przykładów antycznych stanowiło imperatyw lub okazję do popisania się erudycją – bo nie mnie to oceniać. A swoją drogą historia Dydony jest napisana dobrze i ciekawie, zaś logiczne argumenty Ercilli podejmującego dyskusję z Wergiliuszem powinny się Voltaire’owi podobać (gdyby je przeczytał).



Mężczyzna z plemienia Mapuchów, fot. Muzeum Sztuki
Prekolumbijskiej w Chile.



Kobieta z plemienia Mapuchów z dzieckiem, fot. Muzeum Sztuki Prekolumbijskiej w Chile.

Może Czytelnik będzie zaskoczony, że w podsumowaniu swej siedmioletniej pracy nad przekładem *Araukany* zająłem się zaledwie jednym, wąskim, a dla niektórych pewnie mało istotnym zagadnieniem, tym bardziej, że przy obecnym stanie wiedzy o tej epopei i jej autorze w Polsce mamy wiele do nadrobienia. Otóż ja, zamiast się rzucać do naprawiania od razu wszystkiego, postanowiłem zająć się na początek przynajmniej jednym, najważniejszym – przywróceniem dobrego imienia Ercilli, który, objawiając w swych pięknych strofach kunszt poetycki, wrażliwość i humanizm, godzien jest naszego szacunku i

zachwytu. Nie wiem, czy mi się to uda, ale przynajmniej próbuję. Analizę literacką dzieła pozostawiam specjalistom, a ocenę mojego przekładu – Czytelnikom.

Fragment „Posłowia” z trzeciego tomu „Araukany”

Czesław Ratka na Culture Avenue:

<http://www.cultureave.com/poeta-zapomniany-czesc-i/>

<http://www.cultureave.com/witaj-swiecie/>

[1] *La Araucana: de Alonso de Ercilla y Zúñiga; ilustrada con grabados, documentos, notas históricas y bibliográficas y una biografía del autor: Ilustraciones I, autor publikacji: José Toribio Medina, Imprenta Elzeveriana, Santiago de Chile 1917; Ilustración X - Bibliografía de La Araucana.*

Wydanie internetowe: Biblioteca Virtual Miguel de Cervantes, Alicante 2007:

<http://www.cervantesvirtual.com./obra/la-araucana-ilustraciones>
-0/

[2] Medina, dz. cyt., *Ilustraciones II*, Santiago de Chile 1918; *Ilustración XXII – Traductores de La Araucana*.

Wydanie dostępne w Internecie: Biblioteca Virtual Miguel de Cervantes, Alicante 2007:

<http://www.cervantesvirtual.com/obra/la-araucana-ilustraciones-i-i-0/>

[3] Przekład własny z hiszpańskojęzycznej wersji tytułu podanej przez Medinę (tamże).

[4] Alonso de Ercilla, *La Araucana*, oprac. I. Lerner, Cátedra, Madrid 2005, str. 55.

[5] Wojciech Charchalis we wstępie do swego tłumaczenia *Don Kichota* (Miguel de Cervantes, *Przemysłny szlachcic Don Kichot z Manczy*, Rebis, Poznań 2014, str. 41).

[6] Ignacy Domeyko, *Araukania i jój mieszkańcy: wspomnienia z podróży po południowych prowincjach rzeczypospolitéj chilijskiej*. Nakładem Biblioteki Kórnickiej, Wilno 1860.

[7] Przekład Rettela wraz z jego *Wstępem* jest dostępny w Internecie na stronie Cyfrowej Biblioteki Narodowej: <http://www.polona.pl/dlibra/doccontent2?id=21594>

[8] I. Domeyko, *Moje podróże t. II*, Ossolineum, Wrocław – Warszawa – Kraków 1963.

Poeta zapomniany.

Część I.



Czesław Ratka w Madrycie

W październiku 2017 roku ukazał się III tom i ostatni niezwykłego tłumaczenia na język polski XVI-to wiecznego narodowego eposu Chile o wojnie hiszpańskich Konkwistadorów z chilijskim plemieniem Mapuchów, autorstwa Alonso de Ercilla y Zúñiga, naocznego świadka wydarzeń. Tom I „Araukany” w polskim tłumaczeniu ukazał się w 2013 roku, a w roku 2016 tom II. Tłumacz, pan Czesław Ratka to polski inżynier elektronik, pasjonat literatury, mistrz pióra, nagrodzony w 2013 roku przez Instytut Cervantesa w Polsce za tłumaczenie literackie. Autor tego unikalnego przekładu pisze o genezie utworu, trudnej historii Chile i swojej benedyktyńskiej pracy.

Redakcja

Czesław Ratka

Z pierwszymi wzmiankami o istnieniu trzyczęściowej wierszowanej relacji z walk o opanowanie przez Hiszpanów terytoriów chilijskich zatytułowanej *La Araucana*, autorstwa Alonsa de Ercilla y Zúñiga, zetknąłem się prawie pięćdziesiąt lat temu. Nie przypominam sobie, w jakiej książce, ani kto był jej autorem, ale pamiętam, że pierwsza część eposu była w niej chwalona, druga była krytykowana za obecność wtrętów niezwiązanych z historią podboju oraz wstawek fantazyjnych, a trzecia – uznana za najgorszą, jako zlepek przypadkowych, niespójnych treści na różne tematy. Pamiętam też, że taką samą,

lub podobną, opinię spotykałem później wielokrotnie w różnych tekstach na temat konkwisty, pisanych przez różne osoby. Taki sposób przedstawienia epopei chilijskiej nie zachęcał do sięgnięcia po nią. Dzisiaj wiem, że była to ocena historyka poszukującego u dawnych autorów faktów o konkwiście, a nie miłośnika poezji epickiej. Wartości literackie nie miały tu żadnego znaczenia.

Dziewięć lat temu natrafiłem w Internecie na pełen tekst epopei Ercilli i zrozumiałem od razu, dlaczego uchodziła za nieprzetłumaczalną. Jest napisana oktawą rymowaną (na wzór włoskiej *ottava rima*) – wers jedenastozgłoskowy, rymy *abababcc* – z takim bogactwem treści i form językowych, że trudno sobie wyobrazić możliwość oddania całego mistrzostwa autora w innym języku przy jednoczesnym zachowaniu rygorystycznej formy. Zrobiłem własną przymiarkę do przełożenia choćby jednej oktawy, ale po kilku dniach się poddałem. Osiemnaście miesięcy później powtórzyłem próbę, tym razem z sukcesem.

Obecnie mam przed sobą dopiero co odebrany z drukarni trzeci (ostatni) tom mojego przekładu. Poprzednie ukazały się w latach 2013 i 2016. Praca nad częścią pierwszą (1136 oktaw) trwała trzy lata, nad częścią drugą (966 oktaw) – dwa i pół roku, a nad trzecią (530 oktaw) – piętnaście miesięcy; przy czym ta trzecia jest objętościowo wyraźnie mniejsza. W sumie 2632 oktawy, czyli ponad 21 tysięcy wersetów.

LA ARAVCA

na de don Alonso de Er-
cilla y çuñiga.

DIRIGIDA A LA SACRA

*Catholica Real Magestad del Rey
Don Philippe nuestro Señor.*



EN SALAMANCA,
En casa de Domingo de Portonarijs, Impres-
sor de su Catholica Magestad.

1 5 7 4

Con privilegio de Castilla, y de Aragon.

A costa de Vicente, y Simon de Portonarijs.

Esta es la primera vez que se publica.

Renesansowe wydanie „Araucany”.



Alonso de Ercilla y Zúñiga na dawnej rycinie.

Alonso de Ercilla y Zúñiga urodził się w Madrycie w roku 1533. Wcześniej osierocony przez ojca, jurystę, członka Rady Królewskiej, był wychowywany na dworze późniejszego króla Filipa II, gdzie otrzymał solidne wykształcenie. Jako paź księcia brał udział w każdej jego podróży, dzięki czemu poznał wiele krajów Europy. W wieku 21 lat, świeżo pasowany na rycerza, dowiedziawszy się o buncie Indian chilijskich, Mapuczów (których później nazwie Araukanami), udał się do Chile, by mieczem udowodnić swoje oddanie dla króla i kraju, i zakosztować przygód. Egzotyka Nowego Świata, ogrom przeżyć,

a przede wszystkim podziw dla Mapuczów – którzy, jako jedyne plemię indiańskie zachowają swoją niezależność przez trzysta pięćdziesiąt lat – sprawiły, że poczuł potrzebę uwiecznienia ich za pomocą pióra; i choć wielu chwali jego wyczyny wojskowe, on sam pisze o tym tak:

Kroku w prowincji tej nie wykonano,

Żebym go własną stopą nie przebadał;

Ciosu ni pchnięcia nożem nie zadano,

Bym nie powiedział, kto tę ranę zadał;

Owszem, w potyczkach mało mnie widziano,

Gdyż to, com widział, i co opowiadam,

Tak bardzo umysł mój oczarowało,

Że ramię miecza dobyć zapomniało

Jeśli skłoniło mnie coś, bym to spisał-

Choć talent marny, a styl mój koślawy –

To chęć, by czyny przetrwały w zapisach

I żeby czas ich niesłusznie nie strawił.

Opisywał na gorąco to, czego był świadkiem i to, czego się dowiedział o wydarzeniach wcześniejszych od ich uczestników. Wziął udział w siedmiu walnych bitwach, między innymi w tej, która zadecydowała o upadku indiańskiego powstania; a choć opisywana kampania kończy się wygraną Hiszpanów, w wierszach jego nie znajdziemy nut tryumfu. Dostrzega okrucieństwo i odczuwa moralne wyrzuty za uczestnictwo w przedsięwzięciu, które nie przynosiło chluby Hiszpanom. Skoro jednak obiecał opowiedzieć rzetelnie wszystko do końca, pisze w zakończeniu pieśni XXXI:

Nie wiem, jakimi słowy ten szturm krwawy

Opowiem, jakim sposobem wyrażę

Tę słuszną litość i słuszną nienawiść,

Bo obie zawsze zjawiają się razem.

Duch to stanowczy, to pełen obawy

Mnie powstrzymuje i wątpić mi każe,
Bo gdy współczucie i żal wzbudzę w sobie,
Potępię, jako złe, to, co tu robię.
Jeśli pomine ten atak na bramę
I tak po uszy jestem weń wplątany,
Jeśli to tutaj zostawię w tym stanie,
Żle się wywiążę z obietnic składanych;
Tak więc wątpiący w dobre rozwiązanie,
Przeciwnościami tymi wciąż targany
Do innej, nowej pieśni to odkładam,
Ponieważ jest mi potrzebna porada.

Jeżeli dzisiaj, na fali refleksji nad niesławnym aspektem podboju

Ameryki, rozpoczętej przy okazji pięćsetnej rocznicy pierwszej podróży Kolumba, oryginalne relacje z podboju, tak niedawno jeszcze mające swoją sekcję w każdej większej księgarni w Hiszpanii, są *démodé*, to mamy tu przykład, że nie powinniśmy każdego z jego uczestników oceniać tak samo. Dowodów takich jest w *Araukanie* niemało.

Ercilla spędził w Chile zaledwie siedemnaście miesięcy. Jego przygoda skończyła się nagle w sposób dla niego fatalny. W trakcie świętowania nowiny o koronacji Filipa II wdał się nierozważnie w pojedynek z innym młodym szlachcicem, za co gubernator García Hurtado de Mendoza, główny dowódca wojsk hiszpańskich, skazał obu na ścięcie. Surowy ten wyrok został wprawdzie wkrótce zamieniony na wygnanie z Chile, miał jednak wpływ zarówno na życie poety, jak na losy jego poematu:

Święto zakłócił traf nieprzewidziany,

A sędzia taką skwapliwość wykazał,

Żem wnet na suknie stał jako skazany,

Bo mnie na gardle zaraz karać kazał;

Złoczyńcą stałem się zdeprawowanym,

Jak to publiczna pogłoska rozgłasza,
Przez to jedynie, że za miecz chwyciłem,
Choć go bez racji nigdy nie dobyłem.

Po powrocie do Hiszpanii autor wydał drukiem pierwszą część swojej epopei (w roku 1569). Cała miała opowiadać wyłącznie o wojnie, jak zapowiada już w pierwszej oktawie:

Nie o miłości śpiewam, nie o damach,
Nie o konkurach szlachetnych rycerzy,
Nie o ich troskach, czułościach, staraniach
Ani o głębi ich miłosnych przeżyć,
Lecz o odwadze i o dokonaniach
Owych walecznych hiszpańskich żołnierzy,
Którzy na karki wolnych Araukanów
Włożyli jarzmo po krwawym zmaganiu.

I tak rzeczywiście jest – przeplatają się w niej dwa wątki: araukański i konkwistadorski. Wprawdzie pod koniec pojawia się epizod miłosny, ale akceptujemy go, gdyż przedstawia pożegnanie jednego z głównych bohaterów, mającego zginąć, z żoną, co przywołuje nam w pamięci scenę pożegnania Hektora z Andromachą w Iliadzie, a takie nawiązanie do wzorów antycznych jest u renesansowego poety zrozumiałe. Autor sam jednak zaczyna wątpić w słuszność zawężenia tematyki do spraw Marsowych, które sam sobie narzucił:

Jużem to chciał tu zostawić, uznając,
Że trwa zbyt długo i znuży każdego
(Kiedy prawdziwy bieg spraw przybliżając,
Trzymam się ciągle tematu jednego);
Bo słowa tak się gładko nie składają
I nie ma nigdzie pióra tak nośnego,
By długo pisząc, w rutynę nie wpadło –
Jak nie ma jadła, by się nie przejadło.



Bitwa pomiędzy Hiszpanami i Mapuchami, rycina z poematu epickiego „La Araucana” Alonso de Ercilla y Zúñiga, wyd. Madryt 1884, red. J. Gaspar, s. 168.

Część pierwsza została przyjęta bardzo dobrze, a autora spotkały zaszczyty zachęcające go do kontynuowania dzieła. Dziewięć lat później ukazuje się drukiem część druga, a zachwycony Garcíá Hurtado de Mendoza, gubernator Chile – ten, który kiedyś skazał Ercillę na śmierć – dołącza do wydania sonet własnego autorstwa na cześć twórcy. Teraz już autor nie zamierza trwać przy obietnicy wypowiedzianej w pierwszej oktawie poematu, która nie pozwalała mu na szersze pokazanie jego możliwości, i dwa wątki podstawowe, opowiadające dalsze dzieje wojny chilijskiej, ozdobi pękiem historii dodatkowych, prawdziwych i fantastycznych, splecionych w jedną całość dzięki własnemu

kunsztowi poetyckiemu, jakby nam chciał powiedzieć o wszystkim, co ludzkie. Jest to prawdziwie renesansowe podejście, czego historycy krytykujący dzieło nie dostrzegli, ponieważ chcieli w nim widzieć sprawozdanie z wydarzeń historycznych, gdy w rzeczywistości jest pięknym dziełem literackim:

Od siebie rzeknę, z jakim zatroskaniem

Trzymam w pamięci oraz z jakim lękiem

Wspominam słowo niepotrzebnie dane,

Że rozpoczętą tę dokończę księgę;

Bo z tej materii suchej i niechcianej,

Tak bezowocnej, jaką wziąłem w rękę,

Mogę mieć tylko na trudy widoki,

Gdyż źle z makuchów wydobywać soki.

Kto mnie w te stoki i chwasty wpakował

Za głosem bębna i trąby chrypiącej,
Gdy mógłbym sobie po gajach wędrować,
Zbierając różne kwiaty woniejące,
Wplatając w treści, którem zaplanował,
Bajki, amory i plotki krążące,
Którymi mógłbym bez reszty się zająć,
Czerpiąc z nich radość i radość sprawiając?
Czy wszystko ma tu być walką, wrogością,
Niezgodą, ogniem, krwią i okropieństwem,
Napastliwością, nienawiścią, złością,
Zuchwalstwem, szaleństwem, urazą, szaleństwem,
Furią, odwetem, gniewem, potwornością,
Mordem, pogromem, rzezią, okrucieństwem,

Które i w Marsie odrazę wzbudzają,

A możliwości moje przekraczają?

O ile w części pierwszej są opisane wypadki mające miejsce przed przybyciem Ercilli do Chile, a zatem zasłyszane zaledwie przez niego, to w drugiej opisuje to, co zobaczył na własne oczy i co zrobiło na nim tak mocne wrażenie, że miecz postanowił zamienić na pióro. Trudno też wykluczyć, że po publikacji pierwszej części spotkała autora przygana, że marnuje swój talent na opiewanie mało istotnych awantur z dzikusami rozgrywających się gdzieś na końcu świata, dokąd podróż trwa cały rok, zamiast się zająć tym, co dla Hiszpanii, największej potęgi na świecie, jest najważniejsze i decydujące dla jej przyszłości; a także wychwalaniem sukcesów króla, któremu on sam tyle zawdzięcza. Ercilla musiał się więc wykazać nie lada inteligencją, wyobraźnią i zdolnościami, by spoić w jedną historię opis wojny araukańsko-hiszpańskiej, dziejącej się w latach 1553-58 w Chile, z bitwą pod Lepanto z roku 1571.

Trzecia część epopei, która ukazała się drukiem w roku 1589, miała mieć w zamyśle autora strukturę podobną do części poprzedniej: dwa wątki zasadnicze traktujące o wojnie chilijskiej oplecione bukietem epizodów pobocznych. Na to wskazuje jej kilka pierwszych pieśni. Tymczasem w Hiszpanii działały się

wówczas rzeczy ważniejsze, na które Ercilla, jako zawsze oddany i wierny swojemu władcy, nie mógł pozostać obojętny i musiał, bo tego chciał, wyraźnie wyartykułować swoje stanowisko w tej sprawie. Chodzi o interwencję Filipa II w Portugalii w latach 1580-83, której celem było włączenie tego kraju do jego królestwa. W ten sposób powstała pieśń zaplanowana przez autora jako końcowy akcent w jego poemacie. Należało tylko poprowadzić dokładane wątki ku temu celowi. Niestety przedwczesna śmierć poety nie pozwoliła na to przemyślane zespolenie. Dlatego trzecia część *Araukany* liczy tylko osiem pieśni (pierwsza miała ich 15, a druga 14) i sprawia wrażenie, jakby wydarto z niej kilkadziesiąt stron. Wprawia też w zakłopotanie czytelnika, który się w jej treści gubi, i jeśli nie przeanalizuje jej dostatecznie wnikliwie, powie o niej, jak nieraz miałem okazję czytać, że jest zlepkiem przypadkowych, niespójnych treści na różne tematy (mimo iż literacko jest może nawet lepsza, niż poprzednie).

„Poeta zapomniany”, część II ukaze się w poniedziałek 27 listopada 2017 r.

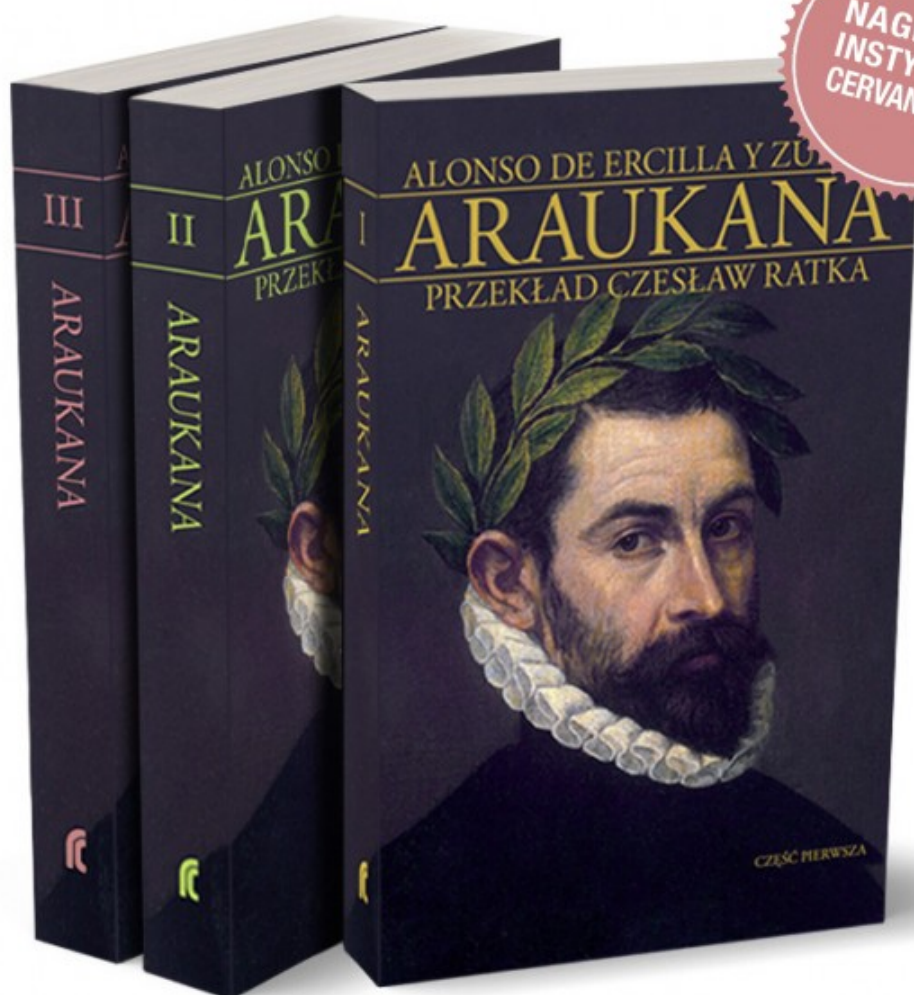
NAJLEPSZE DZIEŁO HISZPAŃSKIEJ POEZJI EPICKIEJ

PO RAZ PIERWSZY W HISTORII W JĘZYKU POLSKIM

Renesansowy poemat napisany oktawą rymowaną w układzie abababcc, opowiada w ponad 21 tysiącach wersetów historię zrywu chilijskiego plemienia Mapuczów (Araukanów) przeciwko inwazji hiszpańskiej w latach 1553–58.

Przez Cervantesa zaliczony do „najpiękniejszych kobierców poezji, jakie ma Hiszpania” i uznany za jeden z „najlepszych spisanych po kastylijsku bohaterskimi wersami, mogący rywalizować z najśłynniejszymi z Włoch”.

Przez Chilijczyków uważany za ich epopeję narodową.



* Nagroda Instytutu Cervantesa w Polsce za przekład literacki z języka hiszpańskiego – XI edycja 2013/2014

Wszystkie trzy części dostępne w Księgarni Bonobo (Kraków, Mały Rynek 8).

 Araukana – La Araucana

Czesław Ratka na Culture Avenue:

<http://www.cultureave.com/witaj-swiecie/>

Czesław Ratka (ur. 1952) – polski inżynier elektronik, tłumacz literatury pięknej z języka hiszpańskiego. Ukończył Politechnikę Śląską. Oprócz szesnastowiecznego eposu *Araukana* Alonsa de Ercilla y Zúñiga, przetłumaczył relację Alvara Núñeza Cabezy de Vaca zatytułowaną *Naufragios*, która opowiada o wyprawie na Florydę, jaka miała miejsce w 1527 roku. Z trzystu uczestników ekspedycji przeżyło ją tylko czterech.

na podst. Wikipedii

Księżycowy pejzaż Mono Lake



Mono Lake, fot. Jacek Gwizdka

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Po długiej drodze przez szarobrunatne, wulkaniczne ciągnące się

setki mil pasmo łańcuchów górskich **Sierra Nevada**, z wyschniętą roślinnością wdzierającą się w kamienną przestrzeń otaczającą horyzont, zatracą się zachwyt nad potęgą natury, przerastającą człowieka swoim ogromem. Zmęczony skalistą monotonią krajobrazu wzrok, pragnie choć na chwilę zatrzymać się w jakiegokolwiek życiodajnej oazie. Gdy więc nagle zza gór wyłania się srebrzysta, o kapryśnych kształtach, księżycowa sceneria **Mono Lake**, wydawać się to może nierealną fatamorganą.

Mark Twain, pisarz, dziennikarz, poszukiwacz złota i podróżnik, który dotarł do najbardziej dzikich zakątków Ameryki, nazwał to ukryte wśród pustynnej przestrzeni jezioro, **Morzem Martwym Kalifornii**. Rzeczywiście, zasolenie jeziora jest prawie tak duże, jak Morza Martwego z terenu Izraela i Jordanii. Jednak nie tylko zasolenie mogło nasunąć takie skojarzenie. Widok na **Mono Lake** przypomina zarówno scenerię z filmów *science fiction*, miasto przyszłości wyniszczone cywilizacją, jak i historię planety Ziemia z wyłaniającymi się z wody, zastygłymi w bezruchu, kamiennymi tworami. Jezioro wraz z **wyspą Paoha**, powstałą w wyniku wulkanicznej erupcji sprzed 335 lat, jest jednym z niewielu miejsc na świecie, tak aktywnych, by utworzyć wokół siebie ogromną przestrzeń tufowych labiryntów. **Tufa** powstałe na skutek reakcji chemicznej dużych ilości wapnia z dwutlenkiem węgla tworzą rozległe, różnorodne kompozycje, niespotykane formy o wielości kształtów, zmieniające swą kolorystykę w

zależności od pory dnia i pory roku.

Przedzierając się przez biało-złoty skalny gąszcz, pokłóci kolczastą, pastelową bylicą rosnącą wzdłuż tufowych traktów i wypełniającą wapienny płaskowyż, gonimy unikatową chwilę, zachowaną potem na fotografii. Wrażenie jest ogromne. Wydawać by się mogło, że to co widać, to starożytne opuszczone miasto, ruiny Babilonu, czy przysypanej wulkanicznym popiołem Pompei, kamienne, mitologiczne posągi, biblijne postacie z Sodomy i Gomory, złote maski ze skarbu Inków czy indiański totem. Gdzieś w tych kamiennych tworach zamknięty jest czas, czas natury i czas legend.

Zanim na amerykański kontynent przybyli Europejczycy nad jeziorem Mono żyło indiańskie plemię zwane **Kutsavi**. Życie tej małej społeczności ściśle związane było z biologicznym cyklem jeziora, współgrało z życiem ogromnej ilości zamieszkującej nadbrzeże dzikiego ptactwa, poddawało się prawom natury. Głównym źródłem pożywienia tej grupki Indian, były bogate w białko i tłuszcz poczwarki muchy kutsavi. Wielkością przypominały ziarnka ryżu, łatwo można było je przechowywać i służyły do przygotowywania najrozmaitszych potraw. Plemię zamieszkiwało te tereny jeszcze w XIX wieku. W 1863 roku zawitał w te strony pewien znany geolog. Indianie poczęstowali go swoją potrawą. – Smakowało dobrze – napisał później w swoim dzienniku – Gdyby tylko zapomnieć o pochodzeniu, byłyaby

z tego świetna zupa.

Sierpniowa kalifornijska noc, to mnóstwo gwiazd i wielki księżyc, tym większy, że w podwójnym odbiciu na płaszczyźnie nie skażonego jeszcze cywilizacją jeziora. Gwiazdozbiory, przerastające ludzką wyobraźnię, od zawsze prowokowały powstawanie legend. Indianie znad Mono Lake, też snuli swoje opowieści.

Trzej indiańscy myśliwi gonili niedźwiedzia. Niedźwiedź uciekając tak wzbił się w górę, że dosięgnął nieba. Myśliwi jednak nie zaprzestali pogoni. Strzelali do niego z indiańskich łuków. Ze zranionego niedźwiedzia kapła krew i stąd jesienią liście robią się czerwone. Kapał też tłuszcz, dlatego liście jesienią żółkną. Niedźwiedź zatrzymał się na niebie, a za nim ciągle widać trzech myśliwych.

Dzisiaj nikt już takich legend nie pamięta. Kultura indiańska stała się towarem, sprzedawanym na każdym rogu ulicy. Nie ma już plemion żyjących zgodnie z naturalnym cyklem przyrody. **Mono Lake** żyje jednak swoim życiem. Dzikie ptactwo budzi się co rano i zanosi swój śpiew pod wulkaniczne góry, skąpane w czerwieni wschodzącego słońca, a wieże tufowe, zastygłe, nieruchome, niezmiennie, zamykają w sobie tajemnice naszej planety.

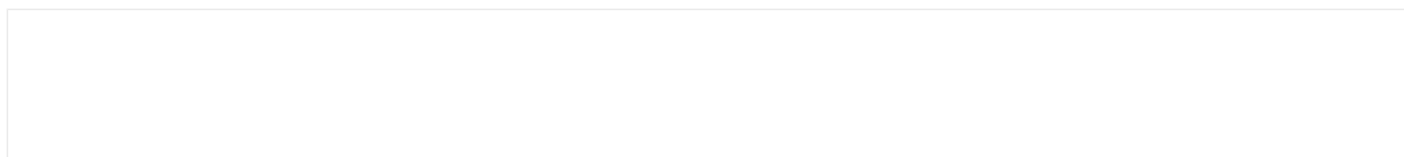
Kanada Arkadego Fiedlera



Arkady Fiedler w Kanadzie, fot. Muzeum Arkadego Fiedlera w
Puszczykowie

Mieszkając w Kanadzie rozmawiałam z wieloma osobami, które wybrały Kanadę na swój nowy dom pod wpływem książki Arkadego Fiedlera „Kanada pachnąca żywicą”. Jedni byli szczęśliwi, z powodu tej decyzji, a inni rozczarowani. Pamiętam rozmowę z nieżyjącym już artystą – Wilkiem Markiewiczem. Mieszkał w Europie i tak się jego losy życiowe ułożyły, że chciał tę Europę opuścić. Wszystkie kraje wchodziły w grę. Wtedy przypomniał sobie czytaną dawno książkę Arkadego Fiedlera i sięgnął po nią ponownie. Fantastyczne opisy przyrody przeważały i wyemigrował do Kanady. Rozczarowany wspominał, że Kanada wcale nie pachniała żywicą, tylko ludzkim potem.

Mimo, że moja rozmowa w Puszczykowie z synami Arkadego Fiedlera miała miejsce dawno, to opowieści o ojcu, przygodach wśród kanadyjskich Indian i domu rodzinnym z mamą Włoszką nie zdezaktualizowały się i mogą zachęcić do rozbudzenia pasji w poznawaniu świata. **Joanna Sokołowska-Gwizdka.**





Arkady Fiedler w Kanadzie, fot. Muzeum
Arkadego Fiedlera w Puszczykowie

Joanna Sokołowska-Gwizdka: „Kanada pachnąca żywicą” jest nie tylko tytułem popularnej, tłumaczonej na dziewięć języków książki, ale i określeniem, które na stałe zagościło w naszym języku. Kojarzy się z czasem lektur szkolnych, marzeniami o dalekich podróżach i baśniowym świecie odległej indiańskiej kultury. Arkady Fiedler odbył w sumie 6 podróży do Kanady. Najstarsza, której owocem była słynna książka, miała miejsce w 1935 roku. Następne odbył w latach 1945, 1961, 1972, 1975, a

ostatnią w 1980 roku, w wieku 86 lat. Proszę opowiedzieć o podróżach z ojcem do pachnącej Kanady.

Arkady Radosław i Marek Fiedlerowie: W 1980 roku, podczas ostatniej kanadyjskiej podróży ojca, pojechaliśmy między innymi do tych samych Indian Algonkinów, których ojciec odwiedził w swojej pierwszej podróży do Kanady. Mieszkaliśmy w rezerwacie, na północ od Montrealu. Spaliśmy z nimi pod namiotami, nad jeziorem, pływalismy na canoe, polowaliśmy itd. Były to dość traperskie warunki, jak na wiek ojca. Ale dla niego był to powrót do wspomnień. Bohaterowie książki już nie żyli, minęły przecież lata, ale miejsce wiele się nie zmieniło. W jakimś momencie nasi Indianie dostali zapomogi i upili się. Cała wioska tonęła w oparach alkoholu. Schodziliśmy im z oczu, bo patrzyli na nas coraz bardziej hardo, byliśmy dla nich jakimiś Jankesami, czy nie wiadomo kim. Otoczyli nas, jakby chcieli zażądać, abyśmy się zaraz wynosili. Ojciec miał przy sobie egzemplarz „Kanady pachnącej żywicą”. Było to wprawdzie polskie wydanie, ale miało dużo fotografii. Pokazał im więc tę książkę, a oni wykrzyknęli – to Ty znałeś naszego wodza? On już nie żyje od 25 lat. A ojciec na to – no pewnie, polowałem z nim, lasy razem przemierzyliśmy. No i cała wioska zaczęła oglądać książkę, już byliśmy wspaniałymi przyjaciółmi, pękły wszelkie lody. I nikt nie chciał nas wyrzucić. Tak więc w trochę groteskowej sytuacji, książka nas uratowała.



Arkady Fiedler w Kanadzie, fot. Muzeum
Arkadego Fiedlera w Puszczykowie

JSG: Oprócz Indian Algonkinów, w jakich rejonach Kanady odkrywaliście Panowie wraz z ojcem tajemnice kultury Indian?

AiMF: Byliśmy też w zachodniej Kanadzie, w Kolumbii Brytyjskiej, gdzie żyją ciekawe plemiona Indian Kwakiutłów, twórców zachwycających i niezwykłych totemów. Wśród tych Indian przez wiele lat głęboko zakorzeniona w tradycji była uroczystość ceremonialna, zwana „potlaczem”. Jest to ceremonia spotykania się, zapraszania gości i obdarowywania ich ponad wszelką miarę, do tego stopnia, że zapraszający stawali się bankrutami. Wódz Indiański, który zapraszał, głowa rodziny,

tracąc często kumulowany przez lata majątek materialny, zyskiwał w oczach wioski i współplemieńców ogromy prestiż. Stawał się bohaterem, kimś wybitnym. Wymiar duchowy był dla nich ważniejszy, niż materialne, przyziemne sprawy. W tym obyczaju, była jednak też praktyczna strona. Jako bohater, taki wódz był bardzo często zapraszany w charakterze gościa do innych Indian, którzy z kolei urządzali „potlache”, no i tam częściowo odbijał sobie poniesione straty, gdyż tym razem on otrzymywał prezenty od gospodarza. Obyczaj ten w ich kulturze świetnie funkcjonował, nikt tam tak na prawdę nie cierpiał. Niestety zaingerował biały człowiek, władze brutalnie zakazały urządzania „potlaczy” ok. 80 lat temu, czyli na początku 20-tych lat ubiegłego stulecia, nie rozumiejąc kompletnie filozofii tych ciekawych Indian. W mentalności białego człowieka nie mieściło się, że można przez wiele lat ciężko pracować, gromadzić majątek, a potem go tak po prostu rozdać. Mając za sobą władzę, siłę, policję i prawo biały człowiek zniszczył tę kulturę. Tymczasem obyczaj ten wcale nie był samobójczy, oni go inaczej pojmowali, to była po prostu odmienna mentalność, wyrażająca się w różnych sferach życia. Innym zwyczajem było np. w jakimś określonym wieku, 5-6 lat nadawanie sobie imion, które stawały się drogowskazami na całe życie, np. „Jestem Dzielnym Człowiekiem”, czy „Jestem Uczciwym człowiekiem”. Człowiek obdarzony tym imieniem, chciał nie chciał musiał być taki, jak na to wskazywało jego imię. My wśród tych Indian długo buszowaliśmy i poznaliśmy ich dość dobrze. Staraliśmy zbliżyć

się do nich i zrozumieć ich mentalność. Oglądaliśmy ich sztukę, te wspaniałe, symboliczne, mające wiele znaczeń totemy z parku w Vancouver. Poznawaliśmy też Indian bardziej nowoczesnych, którzy pracują na rzecz Indian mniej nowoczesnych. Ogólnie stwierdziliśmy, że ta indiańskość w Kanadzie się zmienia, że są różne ruchy polityczne, że oni zaczynają się podnosić i nie są już tymi Indianami pokonanymi, smutnymi, przygnębionymi z II połowy XIX, czy z początku XX stulecia. Oczywiście, są plagi, np. pijaństwa, ale jest też wielu światłych Indian, po studiach, którzy mają inne, szersze horyzonty i rozwijają swoją kulturę. Stała się ona trochę komercyjna, ale myślę, że oni są dumni ze swojej przeszłości i z tego, że są Indianami i wielu Indian na pewno nie chce rozpuścić się w morzu białych ludzi, dlatego zachowują oraz pielęgnują swoją odrębność etniczną.



Arkady Fiedler w Kanadzie, fot. Muzeum Arkadego Fiedlera w Puszczkowie



JSG: Czy trudno jest dotrzeć do tych prawdziwych Indian, z tradycjami, wejść w ich kulturę, poznać środowisko?

AiMF: Na pewno trudniej jest dotrzeć w Ameryce południowej do Indian znad Amazonki, ze względu na fizyczne trudności w pokonywaniu drogi, bo w Kanadzie wszędzie dzisiaj można dotrzeć bez większego problemu, nawet daleko na północy. Może trochę gorzej zimą, ale latem nie ma takiego problemu. Oczywiście Indianie są różni. Z reguły są bardziej agresywni pod wpływem alkoholu. Biały człowiek staje się dla nich tarczą, w którą kierują swoją złość, przypominają im się dawne urazy. Mogą być wtedy niebezpieczni. Ale kiedy nie piją, są spokojni, zrównoważeni. Wtedy łatwiej można z nimi nawiązać kontakt. Kiedyś mieszkaliśmy na jednej z wysp Jeziora Górnego. Niedaleko, na stałym lądzie była wioska indiańska. Indianie z tej wioski to ludzie niezwykle przyjaźni, otwarci i rozmowni. Jeden z nich, chyba wódz, był wyjątkowo miły. Ale jego młodszy kuzyn pod wpływem alkoholu stał się niezwykle agresywny. Wstrzymywała go jedynie powaga i autorytet starszego Indianina i jego rodziny. W pewnym momencie stanął na przeciwko nas z nożem, a my nie wiedzieliśmy, czego można się po nim spodziewać. Ojciec więc łagodnie go zapytał – słuchaj, a jak ty masz na imię? A on mówi – Koczis. A ojciec na to – no Koczis, to przecież wspaniały wódz Apaczów, przecież znamy. I zrobił mu

wykład na temat Apaczów i jego wodza. I jemu się zrobiło głupio, zobaczył, że jednak Ci biali coś wiedzą, interesują się, nie są tylko zwykłymi podglądaczami. Usiadł więc z nożem i nie machał już nim więcej.



Arkady Fiedler w Kanadzie, fot. Muzeum Arkadego Fiedlera w Puszczkowie



Arkady Fiedler w Kanadzie, fot. Muzeum Arkadego Fiedlera w Puszczykowie

JSG: W jakim stopniu podczas planowania różnych podróży ich celem było poznanie fauny i flory, a w jakim kultury etnicznej danego rejonu?

AiMF: Fauna i flora łączy się nierozzerwalnie z kulturą etniczną. Trudno mówić o Indianach bez przyrody. Trudno też mówić o samej przyrodzie, kiedy się wie, że mieszkają tam ciekawi ludzie, którzy są jakby jej częścią. Elementy te łączą się w naturalny, harmonijny sposób. W przypadku ojca, nie planował on turystycznych podróży, tylko wyprawy dyktowane pasją i

określonym celem – zdobywaniem materiałów literackich, czy eksponatów do muzeum. Przygotowanie do podróży zazwyczaj trwało szereg miesięcy. Ojciec czytał możliwie jak największe ilości książek dotyczących danego kraju, jego ustroju, warunków naturalnych oraz ludzi. Kiedy jechaliśmy razem, też dokładnie planowaliśmy każdą podróż i wyznaczaliśmy sobie cel. Chcieliśmy np. zagłębić się w pachnącą Kanadę, w las i być blisko tej wspaniałej, ciągle dzikiej przyrody. No i zawsze fascynowała nas kultura Indian.

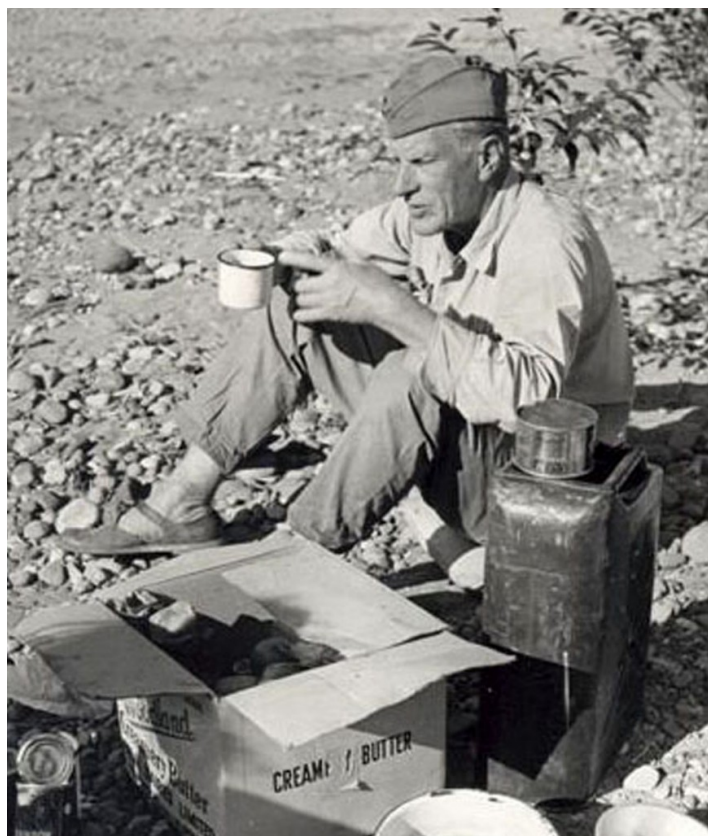
JSG: Czy wspomina Panowie, jakąś szczególną, zaskakującą historię w podróżach z ojcem?

AiMF: Każda z podróży była na swój sposób ciekawa i każda inna. Zwykle najbardziej pamięta się tę ostatnią. I nie raz byliśmy zaskakiwani. To jakaś dziwna prawidłowość, im dokładniej się przygotowuje do wyprawy, tym więcej niespodzianek czeka po drodze. Jechaliśmy kiedyś razem do Nigerii. Czytaliśmy wcześniej wszystko, co nam wpadało w ręce na temat tego kraju, po polsku i po angielsku. Wytoczyliśmy szczegółowy plan, rozplanowywaliśmy podróż czasowo. Jechaliśmy na północ Nigerii, samochodem z Polakiem, który tam pracował. W drugim dniu podróży, kiedy byliśmy już zmęczeni i upałem i dość niewygodną drogą, zatrzymaliśmy się w jakiejś małej wiosce. Stajemy i oczom nie wierzymy. Tamtejsze kobiety wyglądem przypominają kaczki. Mają wyciągnięte wargi, na co

najmniej kilkanaście cm do przodu. Nazwaliśmy tę wieś Wsią Kaczych Dziobów. Czytaliśmy o Nigerii, ale na nic takiego nie natrafiliśmy. Oczywiście nasz plan się zawalił, bo zatrzymaliśmy się tam na dłużej, aby się wszystkiego dowiedzieć o tych kobietach. Okazało się, że gdy dziewczynka miała 3 lata, to nacinano jej w środku usta i wkładano krążki, które wypychały wargę do przodu. W miarę jak dziewczynka rosła, miała wkładane coraz większe krążki. Z naszego punktu widzenia i według naszego kanonu urody kobiety te wyglądały okropnie. Ale zwyczaj zniekształcania miał swoje historyczne uzasadnienie. Pod koniec XIX stulecia kobiety z tego plemienia miały normalne usta i uchodziły za jedne z najpiękniejszych w okolicy. Sława ich urody szeroko się rozchodziła. Były to ciągle czasy łowców niewolników, którzy napadali i porywali kobiety do arabskich haremów. Temu plemieniu groziła zagłada biologiczna. Starszyzna wpadła więc na pomysł, żeby oszpecać swoje kobiety. I rzeczywiście w ten sposób uratowano plemię, ponieważ łowcy niewolników stracili zainteresowanie. Kiedy my się pojawiliśmy w wiosce, przecież wiele lat po czasach łowców niewolników, dziewczyny, czy kobiety miały takie usta po to, żeby podobać się swoim mężczyznom, bo dla nich kobieta ze zwykłymi ustami, nie jest atrakcyjna. Tak więc przez lata, w kolejnych pokoleniach zmieniło się pojmowanie piękna i kanon urody.



Arkady Fiedler w Kanadzie, fot. Muzeum Arkadego Fiedlera w Puszczkowie



Arkady Fiedler w Kanadzie, fot. Muzeum Arkadego Fiedlera w Puszczkowie

JSG: Jesteśmy w pięknym Państwa domu, w Puszczykowie, oryginalnym, w którym się czuje klimat i pasję podróżniczą. Jaka jest historia tego domu?

AiMF: Mieliśmy prawdziwy rodzinny dom. Cały czas była w nim mama, Włoszka. Z ojcem poznali się w Londynie, podczas wojny, gdzie ojciec służył w wojsku polskim, po porzuceniu baśniowej wyspy Tahiti. Mama mu pomagała przepisywać teksty, choć nie знаła słowa po polsku, ale umiała pisać na maszynie. Gdy wojna się skończyła, ojciec zdecydował wrócić do Polski, z którą był bardzo związany. Pisał dla polskiego czytelnika, jeździł po świecie z myślą o tym, żeby zbierać ciekawe materiały i pokazywać je w Polsce. Wrócili z mamą i z nami w 1948 roku. Ojciec kupił ten dom, który odtąd stał się rodzinnym domem. Urodził się w Poznaniu, ale zawsze bliskie mu były podpoznańskie lasy, Puszczyków, dęby rogalińskie, rzeka Warta.

JSG: Dom wraz z otoczeniem stał się więc miejscem powrotów z dalekich podróży i miejscem pracy twórczej, pisarskiej. Arkady Fiedler zaraził swoich synów pasją podróżniczą. Zabierał nie tylko na dalekie wyprawy, ale i przekazał chęć gromadzenia zbiorów i powiększania kolekcji. W części domu jest teraz wspaniałe Muzeum, starannie i z dużą ofiarnością prowadzone przez rodzinę, którą taka idea na pewno niezwykle jednoczy.

AiMF: Skąd pomysł na Muzeum? Do ojca przyjeżdżali

czytelnicy, widzieli, że wraca z daleka, ze świata i chcieli coś zobaczyć. A gromadziło się coraz więcej ciekawych eksponatów. W pewnym momencie na rodzinnej naradzie postanowiliśmy te rzeczy wyciągnąć z różnych miejsc, ze strychu, skrzyń i kufrów i stworzyć stałą ekspozycję. W tej chwili jest to chyba jedyne w Wielkopolsce prywatne muzeum, które działa, rozwija się i na szczęście jakoś daje sobie radę. Wszyscy w rodzinie uczestniczą w tym przedsięwzięciu, pomagają, współtworzą Muzeum. Nie jest to muzeum statyczne, ekspozycja ciągle się zmienia, rozwija. Zaczęło się od 4 pomieszczeń, w których były pamiątki z całego świata, przywiezione głównie przez ojca, ale także przez nas synów. Potem wyszliśmy w ogród, gdzie powstają wierne kopie w skali 1:1 charakterystycznych postumentów, rzeźb, posągów, itd. My nazywamy ten ogród Ogrodem Tolerancji, bo spotykają się tu bardzo różne, odległe kultury i wszystkie żyją w zgodzie i harmonii. Niech więc jakieś przesłanie płynie z tego ogrodu, bo tolerancji jest ciągle na świecie za mało.

Rozmowa została przeprowadzona w listopadzie 2003 roku, w domu Arkadego Fiedlera w Puszczykowie, koło Poznania.



Z synami Arkadego Fiedlera w Puszczykowie, od lewej: Arkady Radosław Fiedler, Joanna Sokołowska-Gwizdka, Marek Fiedler, fot. Andrzej Sokołowski

Zachęcam do odwiedzenia strony Muzeum Arkadego Fiedlera w Puszczykowie, gdzie można znaleźć informacje nie tylko o słynnym podróżniku, ale i o wyprawach kolejnych pokoleń, zarażonych pasją poznawania świata, o imprezach organizowanych przez całą rodzinę, książkach i różnych akcjach popularyzujących podróże. Są tam też filmy z youtube i wiele pięknych fotografii:

<http://www.fiedler.pl/>

Wybitny pisarz i podróżnik Arkady Fiedler ur.28.11.1894 w Poznaniu - zm.7.03.1985 w Puszczykowie. Był synem Antoniego Fiedlera, znanego poznańskiego poligrafa i wydawcy. On to właśnie ukształtował osobowość młodego Arkadego, rozbudził w nim namiętne zainteresowanie przyrodą. „Uczył mnie kochać rzeczy takie, obok których inni ludzie przechodzili obojętnie” – wspomni później pisarz o swym ojcu. Po ukończeniu szkoły realnej w Poznaniu, studiował na Uniwersytecie Jagiellońskim filozofię i nauki przyrodnicze. Studia przerwała I wojna światowa. W latach 1918-19 brał udział w powstaniu wielkopolskim i należał do Polskiej Organizacji Wojskowej. W 1926 wydrukował w odziedziczonym po ojcu zakładzie chemigraficznym reportaż ze swej wyprawy: „Przez wiry i porohy Dniestru”. A w 1928 wyruszył w pierwszą, wielką podróż do południowej Brazylii. Przywiózł z niej bogate zbiory zoologiczne i botaniczne, które bezinteresownie przekazał Muzeum Przyrodniczemu i innym placówkom naukowym w Poznaniu, i nie mniej bogate wrażenia, które opisał w książkach „Bichos, moi brazylijscy przyjaciele” i „Wśród Indian Koroadów”. W 1933 urzeczywistnił swe najgorętsze marzenie: ruszył do Amazonii, do najbujniejszej pod słońcem puszczy tropikalnej. Wyprawa zaowocowała książką „Ryby śpiewają w Ukajali”, która przyniosła pisarzowi wielką, popularność i uznanie czytelników. W 1936 wydał „Kanadę pachnącą, żywicą”. W tym samym roku

otrzymał nagrodę literacką miasta Poznania i Srebrny Wawrzyn Polskiej Akademii Literatury. Wybuch II Wojny Światowej zastał Fiedlera na Tahiti. Porzucił baśniową wyspę, by wybrać żołnierski los. Przez Francję dotarł do Anglii, gdzie poznał polskich lotników bohatersko walczących w Bitwie o Wielką Brytanię. Napisał o nich głośną książkę „Dywizjon 303” – jej przedruki krążyły w okupowanym kraju, krzepiąc ducha. Pływał też na polskich statkach handlowych – wysiłek wojenny naszych marynarzy opisał w książce „Dziękuję ci, kapitanie”. W 1946 wrócił do ojczyzny i zamieszkał w Puszczykowie pod Poznaniem. Nadal wiele podróżował – odwiedził Meksyk, Indochiny, Brazylię, Madagaskar, kilkakrotnie Afrykę Zachodnią. Plonem tych podróży były m.in. „Dzikie banany”, „Piękna straszna Amazonia”, „Madagaskar okrutny czarodziej”, „Spotkałem szczęśliwych Indian”. Napisał powieści dla młodzieży: „Mały Bizon”, „Wyspa Robinsona”, „Orinoko”, książki autobiograficzne – „Mój ojciec i dęby”, „Wiek męski – zwycięski”. W swoim 90-letnim życiu odbył 30 wypraw i podróży. Do każdej przygotowywał się niezwykle starannie, studiując mapy, atlasy, czytając książki o krajach, do których się wybierał, korespondując z tamtejszą Polonią. W dorobku ma 32 książki wydane w 23 językach i przeszło 10-milionowym nakładzie. Jego książki urzekają plastyką opisu, pasjonująco, barwnie zbliżają czytelnikowi ludzi o różnych kolorach skóry, uczą szacunku dla innych kultur i obyczajów, opiewają piękno przyrody. W 1957 Fiedler po raz drugi został laureatem nagrody literackiej miasta Poznania, a w 1978 –

nagrody państwowej I stopnia. W 1969 otrzymał najsympatyczniejsze odznaczenie – Order Uśmiechu. W 1974 pisarz zachęcony namowami czytelników stworzył wraz z rodziną prywatne muzeum podróżniczych trofeów w swym puszczykowskim domu.